

O Stęczyńskim słów dosłownie parę

Stanisław Mancewicz

Po co od razu pisać bestseller i wydawać w milionowym nakładzie? Ot, na przykład taki „Kod Leonarda da Vinci”? Wielka intryga, wiele szczegółów, gigantyczny nakład i same nieprzyjemności. Watykan się od razu na takiego Dana Browna rzucił, że blebla i świat psuje. „Imię róży” tego całego Umberto Eco? To samo, choś sprawa jest starsza, i że niby teraz Eco pisze dla zmyłki o pięknie, a wtedu o smiechu, który jest nam Polakom mocno wstrętny. Wystarczy wyjść do ludzi, by się dowiedzieć, co to za ananas ten Eco i z czego się śmieje. Z Kościoła się śmieje Powszechnego. Niedawno dostałem na ulicy ulotkę od uroczej starszej pani, o ustach jak malina. W ulotce napisano, że wydanie „Imienia róży” przez Agorę Spółka Akcyjna jest dowodem na istnienie nici łączącej wszystkie antychrześcijańskie i antypolskie spiski świata. Zaraz w „Warto rozmawiać” wyciągną rezolutne wnioski, że i Brown, i Eco, i Michnik i Judasz jedność tworzą w dwóch osobach – Jaruzelskiego Wojciecha z WRON i Dukaczewskiego Marka z WSI. Każdy Prawdziwy Polak to czuje podskórnie. Po co się więc tak szastać i ludzi drażnić? Nie wiem.

Od lat nie czytam bestsellerów i książek o wielkich nakładach, od lat nie czytam książek, z kórych powstają filmy. Tak mi się udaje trafić, że tych, które czytelem nikt nie chce przenosić na ekran. Ale intrygi lubię. Oczywiście. Najlepiej niskonakładowe i o wąskim jak tasiemka zasięgu, to akurat prowincjonalnie ogarniam. Nie muszę więc siedzieć nad „Kodem Leonarda”, by zaznać rozkoszy awantury. Wystarczy, że sięgnę po maleńką książeczkę, wyszłą dopiero co w nakładzie 200 egzemplarzy numerowanych ręcznie. Awantura, czy raczej awanturka, jest w niej opisana delikatnie i po krakowsku. Pan Wojciech W. Wiśniewski wydał w mikroskali właśnie biogram Macieja Bogusza Zygmunta Stęczyńskiego. We wstępie autor pisze, że utwór sporządził dla Polskiego Słownika Biograficznego, ale mu coś tam skrócili o pozmieniali i że owszem biogram się w PSB lada chwila ukaże, ale nie w takim kształcie jakby sobie autor tego życzył. Rozumiem. Jak mi redaktor naczelny Józef Stachów zaczyna majstrować przy utworze, zaraz się obrażam i wychodzę. Sarkam i wszystko zaczynam widzieć czarno. Pan Wojciech W. Wiśniewski ma odwrotnie. Nie dał się zagonić do rogu profesorowi Andrzejowi Romanowskiemu z PSB i co tam, wydał wydał sobie wersję życiorysu Stęczyńskiego taką, jaką polubił, do której się przywiązali i uważa za konieczną. Tylko ktoś z Mazowsza, Kujaw lub Żuław, przybyły świeżo do miasta naszego, może powiedzieć, że ta historia jest taka sobie, bez pointy i dramaturgii. Ludkowie moi mili, z Krakowa trzeba być, żeby sobie wyobrazić, co się teraz wyrabia w tym moim PSB

ukochanym. Ale na Wiśniewskiego nadają, że swoim sumptem wydał, że na złość, że szelma. A Wiśniewski zaciera ręce i się uśmiecha szelmowsko właśnie. Szelmowsko nawet wydrukował wszystko czcionką podobną do tej, jaką operuje Polskie Słownik Biograficzny. Trzeba powiedzieć, że im przydzwoił ostro.

Pisząc o tym, znalazłem się między krakowskim młotem a kowadłem. Pana Wiśniewskiego lubię i podziwiam, a Profesora Romanowskiego się boję. W tej sytuacji zalecam zakup zarówno owej książeczki, pt. „Stęczyński”, jak i kolejnego tomu PSB. Z tego całego gadania mało mi już zostało miejsca na opisanie, któż to ów trojga imion Stęczyński był. Superfacet. Rysował Tary.

**„Stęczyński 1824-1890”,
Wojciech W. Wiśniewski,
wyd. Promo, Kraków 2006**

„Gazeta Wyborcza” – „Gazeta w Krakowie” 12 V 2006 nr